

W. Horowicz.

Urzędniczka.

(Wspomnienia Legionisty).

Podróż koleją, zwłaszcza w czasie wojny, to rzecz arcy-nudna. Nic też dziwnego, że każdy śmiertelnik stara się znaleźć wtedy ciekawe towarzystwo i wesołą rozmowę zabić nudę. Pragnie tego cywil, a cóż dopiero żołnierz, który po paromiesięcznej tułaczce po różnych kraiach Europy znajdzie się w wagonie, niosącym go ku rodzinnym pieleszom. Było to... powiedzmy na jednej z galicyjskich linii kolejowych w zimie. Pociąg prawie cały wypełniony był wojskowymi. Każdy, jeszcze pod wrażeniem świeżo przeżytych chwil, spowiadał się z nich przed kolegami. Krzyżowały się grube dowcipy żołnierskie, padały wesołe okrzyki. W moim przedziale, szczęśliwym przypadkiem, było trochę luźniej niż w innych. Powiadam „szczęśliwym”, gdyż wnet miałem się o tem dosadnie przekonać. Na jakiejś małej stacyjce, gdzie zatrzymaliśmy się przez moment, ruch się zrobił w wagonie. Ktoś szukał miejsca. Ma się rozumieć, że nam ani się śniło rezygnować z wygody naszego pomieszczenia, to też porozkładaliśmy szeroko na ławkach nasze plecaki i płaszcze.

W tem...

— Ach, Boże! Gdzie ja się podzieję? — rozległo się we drzwiach rozpaczliwym głosem.

— Przecież pani widzi jak tu wszędzie pełno! — dorzucił szorstko konduktor.

Odwróciłem szybko głowę. W obramieniu drzwi ujrzałem młode dziewczę. Zakłopotana, dźwigała jakieś pakunki. Zarumieniona jeszcze od szybkiego chodu, bezradnie oglądała się w około, prosząc spojrzeniem o litość. Szybko porozumiałem się wzrokiem z dwoma towarzyszami podróży, usunąłem rzeczy i wskazując pustą ławkę, wyciągnąłem równocześnie rękę po jeden z pakunków młodej panny.

— Pani pozwoli, tu jest miejsce, a rzeczy pani zaraz ulokujemy.

Błysk wdzięczności w ciemnych oczach. Obie torby podróżne na mej znalazły się pulce, a nieznajoma zajęła miejsce naprzeciw mnie. Widać było, że jest zmęczona. Szybkim, nerwowym ruchem rozpięła żakiet, pospiesznie zarzuciła woalkę na kapelusz, poczem wiuła się wygodnie w kącie wagonu. Obserwowałem ją z pod oka. Zauważyłem, że to samo robią moi dwaj towarzysze.

Nie była ładna. Silne, wyraziste rysy nadawały twarzy jej jakiś ostry wyraz. Ciemne oczy patrzyły energicznie przed siebie, przysłonięte jednak w tej chwili lekką mgłą zmęczenia. Z pod zgrabnego kapelusza wymykały się sploty czarnych włosów. Ubrana skromnie, robiła wrażenie urzędniczki.

— Pani pewno spieszyła się do pociągu? — nawiązałem rozmowę.

— A tak — trochę spóźniłam się. Dziękuję panu za pomoc, bo doprawdy nie umiałabym sobie poradzić.

— Drobnosika — miło mi przysłużyć się koleżance — zaryzykowałem.

— Jakto? — spojrzała zdziwiona — przecież ja do wojska nie należę!

— Ale jest pani, jak sędzę, urzędniczką, a w takim razie zbliża nas pobratymstwo broni — kłamałem.

Roześmiała się serdecznie.

— No, w takim razie zgadł pan. Choć nie wiem, po czem mnie pan tak osądził.

— Intuicyja, łaskawa pani, my urzędnicy mamy nos, o! mamy. A teraz stereotypowe pytanie, skąd i dokąd bogi wiodą.

Moja nieznajoma westchnęła, a twarz jej zasępiła się lekko.

— Skąd? z domu, a dokąd? na posadę. Jestem ewakuowaną urzędniczką pocztową ze wschodniej Galicyi. Przeznaczono mnie do pomocy na wieś pod N..., a w drodze na posadę wstąpiłam do rodziców. Wsiadłam w N...

— Ach! szczęśliwy traf, gdyż i ja mam się tam zatrzymać dwa dni. Miło mi będzie dotrzymać pani towarzysztwa i... przysłużyć się — dodałem z powłóczyłem spojrzeniem.

Lekkie wzruszenie ramion było odpowiedzią na końcową mą apostrofę. Podrażniło mnie to. Myślałem sobie: „czekaj kochasiu, raz korzystałaś już z mej pomocy. Przyjdzie koza do wozu!”

Przez resztę drogi gawędziliśmy, jak dwoje dobrych znajomych. Panna Helena K. okazała się wesołą towarzyszką. Ostatnie tygodnie spędziła w prawdziwym piekle. Urząd pocztowy pracował do ostatniej chwili. Dopiero kiedy szrapnele rosyjskie zaczęły dolatywać do miasteczka, pomyślano o ewakuacji. Prawie w jednej sukience dopadła pociągu i w natłoczonym wagonie, stojąc jechała kilkanaście godzin. Głodna, zmęczona i zziębnięta ruszać się prawie nie mogła. Dopiero na drugi dzień wieczorem zdobyła na jakiejś stacyi trochę herbaty i chleba, a zarazem dowiedziała się, dokąd jedzie. Wypróżniono cały pociąg w małej miejscinie i tam dopiero rozpoczęły się tygodnie rozpaczliwych męczarni. Licha kwatera, którą dzielić musiała z innymi kobietami, często brak pożywienia — prawie nędza. Wreszcie udało jej się porozumieć z rodzicami, przysłano jej pieniądze i dostała się do domu. Władze nie dadzą jej jednak próżnować. Jedzie na pomocnicę do N... w zupełnie obce strony sama jedna.

— Podziwiam pani odwagę — rzuciłem.

— A cóż mam robić? Jeśli potrafiłam przeżyć owe najgorsze kilka tygodni po ewakuacji, to i teraz dam sobie radę. Zresztą — odrzuciła energicznie głowę — czyż wyglądam na taką niedołęgę?

— Ależ wcale nie, owszem z tą energią jest pani bardzo do twarzy.

— Tylko bez komplementów! Kolega i komplementy, mógł się pan już tego na wojnie nauczyć.

— Przeciwnie pani, pozbawiony tak długo widoku eleganckiej kobiety, tem szczerzej hołd jej gotów jestem oddać — rąbałem jak z nut.

Pogroziła mi, uśmiechając się wesoło.

— Nie bardzo widzę bezpiecznie powierzać się pana opiece.

Rozłożyłem rozpaczliwym giestem ręce.

— Pani!!!

Późną nocą, była już blisko jedenasta, stanęliśmy w N... Panna Helena wysiadła powoli dźwigając swe dwa pakunki, ja zaś pobiegłem załatwić wojskowe formalności meldunkowe.

Wychodzę przed dworzec i ku memu zdziwieniu zastaję Helenkę, siedzącą bezradnie na kuferku. Chusteczka obciera łezki, które natarczywie cisną się do oczu.

— O! a to co? Co pani tu robi, w takim stanie?

— Panie oficerze, co ja też nieszczęśliwa zrobię! Miał po mnie przyjechać wózek pocztowy, a tu nikogo nie ma. Widocznie albo zapomnieli, albo śnieg zawał drogę. Sama w obcym mieście! Przyjdzie mi chyba tu na ulicy nocować.

Rozplakała się na dobre.

— Fe! Kto widział tak odrazu płakać. A gdzie ta energia wystawiana? Jeśli pani pozwoli, wspólnie coś poradzimy.

— Jaki pan dobry! — stała przedemną prawdziwa bezradna kobieta.

— Ma się rozumieć, nie pozwolę pani przecież tu marznąć na polu. Przedewszystkiem pójdziemy do miasteczka, poszukamy jakiejś kolacji, a potem, jakoś to będzie. No, niech pani da pakunek.

Panna Helena wahała się. Spojrzała na mnie raz i drugi, wreszcie szepnęła:

— Ale czy ja mogę tak z panem... przecież nie znamy się zupełnie... Co sobie pan o mnie pomyśli... co ludzie...

— Lari fari przerwałem — ano, proszę! Niech pani nocuje na ulicy. Zresztą, nie ufa mi pani?

Jeszcze raz spojrzała mi długo w oczy, wreszcie wyciągnęła ku mnie rękę.

— Dobrze, idę!

W zgodzie poszliśmy długą ulicą w wygwieżdżoną noc zimową. Do samego miasteczka było z półtora kilometra. Prawie północ dochodziła, gdyśmy stanęli w rynku. Głucho było dookoła; dopiero gdzieś z bocznej uliczki dobiegł mnie stukot zamykanych stor sklepowych. Szybko podążyliśmy w tę stronę i... o rozkoszy! Była to jadalnia, która właśnie zamykała podwoje za spóźnionymi gośćmi. Mimo opozycji właściciela wtargnąłem do środka.

— Pani! Nie daj nam ginąć z głodu. Zamykaj pan sklep, ale i nas razem w środku, inaczej się pan nas nie pozbędiesz.

Po krótkich rokowaniach obiecano nam kolację. Biedna panna Helena drżała z zimna i wewnętrznej emocji.

— Głowa do góry! Cóż to koleżanka wstyd mi chce robić?

Żalotne spojrzenie było odpowiedzią.

Na stole za chwilę pojawiła się wódka, śledzie, a wnet potem i jajecznicą. Pałaszowaliśmy oboje z rozmachem. Ciepło i kilka kieliszków „mocnej” zrobiły swoje. Panna Helena rozjaśniała powoli i wnet śmiech jej wesoły rozbrzmiewał w pustej salce restauracyjnej. Dobrze nam było razem, jak dwaj towarzysze droczyliśmy się i przekomarzaliśmy.

Wreszcie jednak o godzinie pierwszej drzemiaczy w kacie właścicieli obudził się. I znowu wbrew naszej woli znaleźliśmy się na ulicy.

— Trzeba szukać hotelu — zdecydowałem. Panna Helena stała się znowu milcząca i bojaźliwa.

Obeszliśmy rynek dookoła, w jednym rogu wznosił się ponury piętrowy budynek, a napis głosił „Hotel Berka”. Nie mogłem dokładnie dojrzeć, czy to był „Bere” czy też nasz polski „Berek”. Był hotel, była więc i kwatera. Brama była otwarta. Po długich szukaniach i spaleni pudełka zapalek udało mi się wreszcie wyłowić zaspanego żydziaka.

— Icek! Ja chcę spać!

— Nu, czemu ni? Pan oficyr może, dej Panie Boże zdrowie! A gites Zimmer? Jest, zaraz jest, ja umyślne...

— Nie rezonuj, dawaj dwa pokoje, bo nas tu jest dwoje.

— Jakto, dwa pokoje? Gdzie dwa pokoje? Ja mam tylko jeden, ale ekstra fein, dwa łóżków w nim są. Akurat.

Psiakość, a to dopiero historia.

Musi być dwa, przecież widzisz, że tu jest pani.

— Nu, co jest? Cały hotel pełny. Jeden pokójów to jest, ale dwa?!

— Może w drugim jakim hotelu będzie pokój, zaprowadź.

— Oj jej, pan dobrodziej miśli, co tu takie wielkie miasto? Ni, tu jest tylko najporządniejszy ten hotel. Inne nie ma.

Co było robić? Zawołałem pannę Helenę i nieśmiało przedstawiłem jej sytuację. Mimo ciemności dostrzegłem, że aż przbladła. Położenie było i komiczne i dla niej bardzo przykre. Na dworze jednak coraz silniejszy mróz zapowiadał, że i godziny dłużej pozostać na ulicy nam nie pozwoli. Wtem Icek przyszedł z pomocą.

— Prosie pana, jest taki wielki parawan, to się z jeden pokój zrobi dwa pokoje i sy git.

Aż się roześmiał ze swego pomysłu. Ja śmiałem się także, a i panna Helena, choć bardzo pomieszana, wtórowała. Stanęła więc ugoda. Pokój okazał się istotnie dość obszerny, z zakazanej jakiejś rupieciarni znieśliśmy z Ickiem odwieczny parawan i nim, jak się dało, przedzieliliśmy pokój. W piecu zapłonął wesoły ogień i wkrótce przyjemne ciepło przywróciło humory. Helena stała przy stole, nie rozbierając się zupełnie. Pomieszana, zaledwie odważyła się spojrzeć na mnie. Podeszedłem do niej i ująłem za rękę.

— Panno Helenko, zupełnie spokojnie może pani zawierzyć memu honorowi. Niech się pani kładzie i śpi spokojnie, jak u siebie w domu. Jutro pożegnamy się i zapomnimy oboje o tej komicznej przygodzie.

Podniosła na mnie zawstydzone spojrzenie.

— Pan tak pocziwie mną się zajął, że nie mam odwagi wprost odmawiać, chociaż, o Boże! — zakryła rękami lica — jak ja się wstydję.

— No, dziewczynko, kto widział! Teraz wojna, różnie więc bywa. Zresztą nic jeszcze tak złego się nie dzieje, przecież parawan nas dzieli.

Roześmiałem się wesoło. Przyjacielskim ruchem odjąłem jej rękę od twarzy.

— Późno już. Niech się pani kładzie. Zgaszę lampę aby pani swobodnie mogła się rozebrać.

Nie odpowiedziała ani słowa. Skinęła główką, a ja podprowadziłem ją ku parawanowi, za którym natychmiast zniknęła.

Zgasłem lampę i usiadłem w rozwalonym fotelu obok mojego łóżka. Nie chciało mi się spać. Komiczność sytuacji bawiła mnie. Pierwszy raz w życiu byłem takim opiekunem ładnej kobiety. Słuchałem chwilę co się dzieje za parawanem. Panowała tam zupełna cisza. Widocznie i Helena rozmyślała tak jak ja. Wreszcie zaryzykowałem.

— Panno Heleno! — zawołałem półgłosem.

Słuchałem nic się nie poruszyło.

— Panno Heleno! Czy pani już śpi?

Silumione „nie” było odpowiedzią.